**Jan Szokalski (1913–1961)**

Poeta, nauczyciel, redaktor, miłośnik gór. Przed wojną wydał tomik poezji, przewodnik po Dolinie Kościeliskiej i pierwszy przewodnik po jaskiniach

tatrzańskich. Pracował w firmie ubezpieczeniowej. Jak sam przyznaje w swoim pamiętniku, jego sytuacja we wrześniu 39 była lepsza niż większości Warszawiaków, dzięki cukierni, której właścicielami byli rodzice - lekarz Kazimierz Szokalski i artystka malarka Janina Szokalska z Górskich.

Po wojnie pracował jako nauczyciel języka polskiego i historii w szkołach w Poroninie i w Biłgoraju (do dziś w Biłgoraju odbywa się turniej szachowy jego imienia). W wieku 24 lat ożenił się z Jadwigą Leszczyńską, z którą miał czworo dzieci. W 1961 roku zginął w Tatrach podczas samotnej wspinaczki na Durny Szczyt.

**Wybór cytatów z pamiętnika:**

***„****Pamiętam dobrze tę chwilę – 30 sierpnia 1939 roku, kiedy jadąc tramwajem „P” ulicą Dobrą – po zostawioną w jednym z urzędów książeczkę wojskową, ujrzałem przez okno chłopców, z gorączkowym pośpiechem nalepiających na murach Powiśla wielkie, żółte plakaty. Obok tych chłopców jęły się natychmiast zbierać wielkie i coraz większe grupy przechodniów, a z ich podniesionych głów, urywanych strzępów zdań, pośpiesznych ruchów, biło podniecenie. Jakaś pani, siedząca obok mnie, pierwsza wymówiła fatalny wyraz „mobilizacja”. Poczułem jakby uderzenie obuchem w głowę. Do ostatniej chwili odsuwałem od siebie – podobnie jak moi rodzice – bawiący do ostatnich dni na wywczasach – wiarę w możliwość wybuchu wojny”.*

*„Kierownik nasz, zawsze spokojny i opanowany, p. Zochowski (zginął w czasie wojny) wezwał mnie z kilkunastoma innymi pracownikami do wyjścia na wzniesiony taras w gmachu Ubezpieczalni – by zobaczyć, co się będzie działo. Nieświadomy jeszcze bombardowania i okropności wojny, szedłem tak, jakby chodziło o jakieś interesujące przedstawienie. I – rzeczywiście. Błyszcząca w południowym słońcu eskadra samolotów niemieckich, lecąca bardzo wysoko, zjawiła się tak nagle i odleciała tak szybko, po krótkim spotkaniu z wyruszającym w powietrze zastępem lotników polskich. Spotkaniu, w czasie którego padło chyba tylko kilka bomb – i to daleko – że czułem raczej pewien zawód”.*

*„Ach, ta wojna – to jeszcze nic takiego – można nie brać jej bardzo serio”. Podobne wrażenie czuło się u lekkomyślnej zwykle ludności miasta. Wielu po tym pierwszym nalocie miało takie miny, jakby wojna z Niemcami była już wygrana i nie było się w ogóle czym martwić. Ten zbyt pogodny nastrój powiększały jeszcze rojące się chmarami pogłoski, gazety i huczące na rogach ulic megafony radiowe”.*

*„Pod bankami – zwłaszcza pod potężnym gmachem PKO – wyciągnęły się długie, kilometrowe niemal ogonki. Ludzie wszelkich stanów i warstw – opaśli kupcy i suchotnicy wyrobnicy oczekiwali z niecierpliwością chwili, w której będą mogli wydobyć z banków swe milionowe czy tysięczne tylko, albo i mniejsze, oszczędności – często jedyną nadzieję na przyszłość”.*

*„Mocno utkwiły mi w pamięci sceny z naszej cukierni. W środkowych dniach września 1939 roku zmieniła ona zupełnie swój charakter. Ciastek nie opłacało się robić i eleganccy panowie i wytworne panie gdzieś się zapodziały[…] Żona moja w porozumieniu z ojcem moim i matką wyciągnęła z piwnicy sklepowej dużą część zapasów mąki, kaszy i kartofli i z pomocą pokojówki z naszego domu, pensjonatu z przeciwka, jęła warzyć zupę jednogarnkową, krupnik z kartoflami na tłuszczu”.*

*„Wysyłany z domu po wodę – kierowałem się zwykle pod bardzo starą studzienkę, jakby maleńką „fontannę”, wypływającą spod ogrodu uniwersyteckiego w górnej części ulicy Oboźnej. Tam też zastawałem, przychodząc rano (ósma–dziewiąta), długi ogon ludzki, w którym stali solidarnie przedstawiciele wszelkich stanów, zawodów i wyznań wpatrzeni w upragniony cel – małą lwią główkę, z której wypływała pożądana, niezbędna woda […]Kto więc przychodził, jak ja, o ósmej, dziewiątej godzinie, musiał czekać w kolejce trzy godziny albo i dłużej”.*

*„Ojca i siostrę znaleźliśmy dopiero w mieszkanku krawca na Złotej. W pierwszej chwili nie zauważyłem, że nie są tacy sami. Dopiero później, gdy staliśmy na rogu Złotej i Zielnej, blisko niepotrzebnego już przystanku tramwajowego, spostrzegłem z przestrachem, że ojciec jest niepodobny do siebie sprzed kilku dni. Spod posiwiałej czupryny, pomarszczonego czoła, patrzył przed siebie jakimś chwiejnym, niespokojnym wzrokiem, jak zwierzę złapane w pułapkę i nie widzące żadnego wyjścia. Całe szczęście, że dom, w którym do wojny mieszkała siostra ze szwagrem na Lwowskiej 1, wtedy ocalał. Przenieśli się więc do niego – z drobną częścią ocalonych z ruin domu rzeczy. Ale piękne pianino, wielki aparat radiowy, wspaniały aparat filmowy do wyświetlania, niezliczone filmy, zawierające dziesiątki najmilszych wspomnień z przeszłości, stara, miła kanapa, sprzęty, książki, obrazy Matki i cudze, pamiątki, moja wiatrówka i buty – spaliły się. Mnie bolało – ale ile musiało boleć Ojca, który myślał, że nam zostawi po sobie tyle uzbieranych przez lata pięknych i cennych rzeczy? Matka jakoś spokojniej znosiła myśl o tym, powtarzała tylko, że najwięcej żałuje swych obrazów, których nie zdążyła uratować. Ojciec z siostrą wyciągnęli jeszcze trochę rzeczy z piwnicy, ale sporo zdążono tam już ukraść”.*